

Zakończenie

Przyszła przeszłość: historia optymistyczna

Wydarzenia połowy XVII wieku, które radykalnie zmieniają ukraińską historię, oceniamy z perspektywy kilku stuleci. Wiemy, jak wstrząsną one Rzeczpospolitą i otaczającym ją światem; wiemy, jakie będą ich skutki. Ich uczestnicy nie mieli jednak takiej wiedzy, działali zgodnie z tym, co dyktował im ówczesny system wartości. Wartości zależały zaś od stanu, do którego należał dany człowiek, od tego, gdzie żył, w jakiej rodzinie się urodził i czym się w życiu trudził. Dodajmy, że historia to nie doświadczenie chemiczne, w którym wszystkie składniki można odważyć i odmierzyć. Pozostaje nam więc najwyżej domyślać się, czego było za dużo, a czego zabrakło, skoro tamten na pozór stabilny świat wyleciał w powietrze.

Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić eksperymentu, który pomógłby jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego podobne do siebie wydarzenia popychają historię w zupełnie przeciwnych kierunkach. Trudno czasem dostrzec moment psucia się mechanizmów, które zaledwie wczoraj zapewniały społeczeństwu stabilną równowagę. Trudno zaobserwować również łańcuszek przypadków — trzepot skrzydeł motyli, od którego, zdawać by się mogło, nic nie zależy. A jednak wszystkie te rzeczywiste czy wyobrażone ludzkie krzywdy, pogłoski i nieporozumienia, wybuchy miłości i nienawiści na wieki pozostawiają po sobie zagadki w postaci dziwnych przełomów historycznych.

Nasz szlachcic, żyjąc na ukraińskich terenach Rzeczypospolitej — prawosławny, unita, rzymski katolik czy protestant — uważał się przede wszystkim za część swojego stanu. Wszak w społeczeństwie stanowym to właśnie od tego, do jakiej grupy społecznej człowiek należał, i od zabezpieczających jej istnienie praw zależał obraz „swojego” miejsca, życiowych reguł i możliwości. Szlachta była narodem politycznym, który wraz z królem reprezentował i tworzył państwo. „My to Rzeczpospolita” — oznajmiali uczestnicy sejmikowych zgromadzeń, mając na myśli swoją lokalną wspólnotę. A równocześnie każdy z nich mógł powiedzieć, że jest również Rzeczpospolitą, częścią państwa. Teoretycznie bowiem od głosu każdego szlachcica na różnych poziomach życia publicznego zależało, czy dana decyzja zostanie podjęta.

Konstytucja sejmu radomskiego 1505 roku, która przeszła do historii pod nazwą *Nihil novi*, wprowadzała do najważniejszych norm prawnych zasadę jednogłośnego podejmowania decyzji. Najwyższa reguła „nic o nas bez nas” — to znaczy żadna uchwała nie może zostać podjęta bez zgody tych, których dotyczy — to jedna z najcenniejszych zdobyczy społeczeństwa obywatelskiego. W każdym trudnym przypadku popycha ona do poszukiwania kompromisu, który zadowoli mniejszość. Nie bez powodu nazywano ten proces „ucieraniem się” stanowisk. Odpowiedzialność szlachty przez sto czterdzieści siedem lat chroniła państwo przed możliwością zerwania ważnej dla wszystkich decyzji głosem jednego niezadowolonego. Zgoda, o której lubiono mówić przy dowolnej okazji, uważana była za jedną z najważniejszych wartości i cnót.

Nieprzypadkowo „Nie pozwalam!” po raz pierwszy zabrzmiało na sejmie 1652 roku (czy przynajmniej tak to było odebrane) — po czterech latach krwawych wojen, które pogrzebały wiele ustalonych wcześniej zdobyczy i umów społecznych. Niemniej ten, który pierwszy naruszył spokój, przejdzie do licznych opowieści jako człowiek przeklęty: czy to zabity uderzeniem pioruna, czy to zmumifikowany, bo ziemia nie chciała go przyjąć. Prawo liberum veto, które w późniejszej historii stanie się synonimem szlacheckiej anarchii, mogło oczywiście stanowić zagrożenie dla dowolnej spodziewanej reformy. Jednak przez półtora stulecia nie pozwalało ono na dominację większości, broniąc pozycji niezgodnych i innych (oponentów i innowierców).

„Wolnym głosem” można było grozić, by przydać wagi swoim słowom i żądaniom, lecz odpowiedzialni obywatele doskonale rozumieli, do jakich skutków mogła doprowadzić ta formuła. Z niebezpieczeństwa retoryki politycznej zdawali sobie sprawę również królowie, dla których oświadczenia szlachty o jej prawie do sprzeciwu nie były pustą formułą.

Ów naród polityczny Rzeczypospolitej był różnorodny pod względem pochodzenia etnicznego. Nie zapomniano o tym nawet na najwyższej scenie publicznej państwa — w sejmie. Posłowie przybywali bowiem ze swych województw z instrukcjami zawierającymi także czysto lokalne żądania. Każda wspólnota szlachecka, troszcząc się o swoje potrzeby, musiała zadbać o sojuszników na sejmie (a w ważnych sprawach nawet zawczasu). „Swoimi” dla naszego ruskiego szlachcica byli przede wszystkim mieszkańcy Rusi. I chociaż Ruś oficjalnie nie została wydzielona jako osobna jednostka administracyjna, tak jak Wielkopolska czy Małopolska, to raz po raz natrafiamy na ślady jej istnienia w ówczesnej geografii mentalnej. Przypomnę, że Księstwu Ruskiemu jako ziemi przyłączonej wydawca i prawnik Jan Januszowski poświęcił jeden z rozdziałów w zbiorze praw Królestwa Polskiego (1600). Ta prowincja obejmowała zdaniem autora sześć województw — kijowskie, braclawskie, wołyńskie, ruskie, bełskie, podolskie i ziemię podlaską. W 1634 roku dołączyło do nich województwo czernihowskie.

Ta Ruś miała wprowadzić własne podziały wewnętrzne. Trzy województwa — wołyńskie, kijowskie i braclawskie — od 1569 roku posiadały przywileje zapewniające ich mieszkańcom nienaruszalność granic, własne, odmienne od reszty królestwa prawo: II Statut litewski, język ruski (ukraiński) w sądach i urzędach, równość katolików i prawosławnych, prawo do urzędów nadawanych przez króla wyłącznie dla miejscowej szlachty. Własne przywileje otrzymały one w efekcie wytrwałych batalii toczonych na sejmie lubelskim, kiedy wywalczyły prawo samodzielnego ich napisania tak, jak będzie dla nich „najkorzystniej”. Pierwsze punkty głosiły, że województwa te weszły do Korony za zgodą wszystkich stanów, dobrowolnie, jak „wolni do wolnych”, „równi do równych”.

Król potwierdził przywileje swoją przysięgą, dając słowo w imieniu własnym i następców na tronie, że nikt i nigdy nie będzie mógł ich naruszyć. Akty te zyskają więc status konstytucji, przyjętej na podstawie umowy stron. Staną się fundamentem obrony własnych: języka, prawa i Cerkwi, w różnych czasach i na rozmaitych forach. O tym, że te kwestie nie były szlachcie obojętne, świadczą żądania otrzymywane przez posłów z tych województw od ich wyborców. Nakazywali oni swoim reprezentantom, by na wszelkie sposoby dbali podczas sejmów o zachowanie odrębności ruskich województw i ich mieszkańców. Na przykład przez całą pierwszą połowę XVII wieku szlachta województw wołyńskiego i kijowskiego będzie starannie wpisywać do uchwał sejmikowych żądanie, by przy królewskiej kancelarii był stale obecny ruski pisarz, który będzie sporządzać dokumenty w „swoim” języku. Taki pisarz działał również przy sędziach (deputatach) z tych terenów w Trybunale Koronnym — najwyższej instancji odwoławczej. W 1645 roku wołyńska szlachta żądała, by posłowie na sejm starali się o to, aby w Trybunale był wybierany marszałek nie tylko z Wielkopolski i Małopolski, lecz także z województw, które sądzą się statutem.

Ten na pozór drobny gest świadczył w istocie o sile dążenia ukraińskiej szlachty do uzyskania odrębnego statusu obok dwóch wielkich prowincji Królestwa Polskiego, które istniały od początków państwa. Sformułowano nawet bardziej radykalną propozycję: „Gotowi jesteśmy odłączyć się i mieć własny Trybunał w Łucku”. A na sejmie w 1647 roku z inicjatywy Wołynian uchwalono, że na ich koszt wydrukować należy rękopiśmienny statut, wedle którego sądzą się cztery ukraińskie województwa (od 1634 roku także czernihowskie). Ludzie ci w pełnej zgodzie z duchem swojej epoki rozumieli: jeśli jest prawo — jest też podmiot, dlatego gotowi byli w tym celu szczerze sięgnąć do swoich kieszeni.

Pozostała część Rusi — województwa ruskie, podolskie i bełskie — takich możliwości prawnych nie miała. Jednak w ważnych sprawach stała tuż obok, publicznie przypominając o wspólnej przeszłości i o

ruskiej „krwi”: „Za przodków naszych wszystkie te województwa nie osobno, lecz razem radziły się o sobie i swoich wolnościach”. Nieprzypadkowo też na sejmie w 1581 roku posłowie województw wołyńskiego i ruskiego zaproponowali stworzenie odrębnego trybunału dla „swoich”, w jednym z miast Rusi.

Tak więc w połowie XVII wieku ruska szlachta wypracowała już ideowy model siebie jako osobnej wspólnoty w ramach własnego stanu politycznego. Była pewna, że „naród ruski” wraz z narodami „polskim” i „litewskim” utworzył w przeszłości Rzeczpospolitą na podstawie dobrowolnej umowy. Dlatego trzy narody, siedząc na sejmach obok siebie, mogą „o dobru swoich państw i ojczyzny radzić” i cieszyć się wspólnymi „swobodami, prawami i wolnościami”. Dla ukraińskiej szlachty ojczyzną była Rzeczpospolita, w której obrębie istniało jednak jej zdaniem również „państwo” ruskie (czyli kraina ruska) jako osobna jednostka, obok „państw” polskiego i litewskiego.

Nie należy w moim przekonaniu oczekiwać od tamtych ludzi gotowych wyobrażeń na temat granic, definicji i symboli ich mentalnej Rusi. Wszelkie próby zdefiniowania tego wyobrażonego trzeciego członu Rzeczypospolitej zderzą się z mieszaną tożsamością. Jednak oczywiste jest też, że nie doszło do roztopienia się „ruskości” w szlacheckim „morzu”. Na podobny fakt zwrócił uwagę brytyjski historyk Robert Frost, analizując tożsamość Prusów w Rzeczypospolitej. Powszechne używanie języka polskiego, unifikacja systemu sądownictwa i wspólne elementy szlacheckiej kultury politycznej w granicach państwa przebiegały równoległe z coraz wyraźniejszym demonstrowaniem pruskiej tożsamości.

W bardzo zbliżonych okolicznościach ruski szlachcic Adam Kisiel na sejmie 1641 roku wygłosił swój „manifest”: „A my nie do krainy, ale z krainą, nie do religii, ale z religią, nie do tytułów i honorów, ale z tytułami i honorami przyłączyliśmy się do tej wspólnej ojczyzny naszej”. Był to projekt Rzeczypospolitej jako nowej, trójczłonowej federacji, stworzony przez potomków tych, którzy pisali dla siebie przywilej podczas sejmu lubelskiego 1569 roku. Wtedy Rusini wywalczyli dla siebie autonomię, w połowie XVII wieku zaczęli mówić o federacji, bo autonomia już im nie wystarczała.

A co z językiem i religią? — zapyta czytelnik. Wszak wedle tych właśnie cech od początków ukraińskiej historiografii zwykło się szukać „swoich” w niepewnej przeszłości. Ustanawiając dla ówczesnych ludzi restrykcyjne ramy tożsamościowe, zapominamy jednakże na chwilę, jak bardzo płynne są one po dziś dzień. Język był ważny jako część „swojego” świata, chronionego przez prawo, a równocześnie jako część tegoż prawa. Dlatego należało bronić go przed wszelkimi próbami wyparcia z tych sfer, w których miał rozbrzmiewać na mocy przywilejów. Językami polityki były polski i łacina, więc używali ich ludzie z różnych regionów i stanów, także prawosławne duchowieństwo i Kozacy. W życiu codziennym natomiast szlachcic mówił tak, jak wymagały tego okoliczności, albo zgodnie z własnym przyzwyczajeniem.

Z religią też sprawa nie jest taka jednoznaczna. Za Rusinów uważali się przecież nie tylko prawosławni. Czy przejście na katolicyzm wywierało decydujący wpływ na tożsamość — oto poważny i skomplikowany problem, podobnie jak pytanie o rozmiary procesu konwersji. Jego najczęstsza charakterystyka bowiem — „triumfalny pochód” — to raczej schemat ideologiczny niż wynik badań naukowych. Wymowne liczby zostały zaprezentowane przez Henryka Litwina w badaniu dotyczącym przynależności wyznaniowej szlachty kijowskiej. Według jego wyliczeń był wśród niej bardzo nieznaczny odsetek katolików. Na połowę XVII wieku spośród rodzin, których wyznanie udało się ustalić, 111 należało do czysto prawosławnych, katolików odnotowano tylko w siedmiu, unitów — w dwóch, kalwinistów — także w dwóch, a arian — w czterech rodzinach (w 62 przypadkach badaczowi nie udało się ustalić wyznania). Wśród Wołynian katolików było więcej, ale nie przeszkadzało im to solidarnie, nazywając się „narodem ruskim”, wystąpić na sejmiku wołyńskim 1632 roku z żądaniem wypełnienia postulatów ich prawosławnych braci. Nie przeszkodziła wiara katolicka także braciom

Jelcom, którzy w przededniu chmielniczczyzny nosili się z ideą stworzenia w Ksawerowie uniwersytetu i mówili o „naszej ruskiej młodzieży w naszych ruskich krajach”. Gotowi oni byli też ofiarować na ten cel „dziedziczną spuściznę swego rodu”.

Nie można zapominać, że zasada „każdy jest panem własnego sumienia” należała do kluczowych wartości szlacheckich. Społeczeństwo obywatelskie, które było ideałem znacznej części wielowyznaniowej szlachty, wyraźnie przeciwstawiało się absolutyzmowi króla katolika i prawnemu umocowaniu dominacji Kościoła katolickiego. Na przykład książę Krzysztof Zbaraski, katolik, występując w obronie prawosławnych podczas dyskusji sejmowych 1616 roku, podkreślać będzie, że wolność sumienia jest fundamentem wolności szlacheckich, a wiara nie może wywyższać nikogo spośród jemu równych.

W naszej ukraińskiej historii wiele mówi się o krzywdach, jakich doznała Cerkiew prawosławna w wyniku zawarcia unii brzeskiej (1596), ale rzadko pojawia się pytanie: dlaczego ten wielki projekt prawosławnych hierarchów, króla katolika i katolickiego duchowieństwa z papieżem na czele się nie powiódł? Dlaczego przed tym, jak w obronie „swojej religii” staną Kozacy, przyjęte już zostaną konstytucje (1607, 1609), które formalnie przywrócą tej religii wszelkie prawa? Wyświęcona w 1620 roku przy wsparciu kozackiej szabli hierarchia prawosławna potrzebowała zatwierdzenia króla, bo to on nadawał tytuły i majątki. Osiągnąć to można było tylko na sejmie poprzez wywieranie nacisków na władzę. Nie ulega wątpliwości, że kwestię usankcjonowania prawosławnego metropolity i biskupów oraz podziału majątku między dwa Kościoły „greckie” udało się rozstrzygnąć dopiero po śmierci Zygmunta III Wazy i wyborze na tron Władysława IV w 1632 roku. W tamtym momencie jednak pasterze obu ruskich cerkwi — Piotr Mohyla i Józef Welamin Rucki — całkowicie w duchu kultury politycznej Rzeczypospolitej wytrwale pracowali już nad porozumieniem.

Tak więc szabla kozacka służyła jako dodatek, nawet jeśli efektywny, do szlacheckiego głosu na poziomie parlamentarnym. Aby ten głos mógł wybrzmieć, konieczne było zorganizowanie opozycji, w której skład wchodził nie tylko prawosławni i protestanci, ale także katolicy. Wspólnie decydowali oni na sejmikach, że będą walczyć o „zaspokojenie religii greckiej”. I nie chodzi tu o szlacheckie żądanie równości, lecz o pragnienie zachowania spokoju w państwie, szlachta bowiem doskonale rozumiała, że każdy zakaz dotyczący religii prowadzi do wojny, a każda aprobatą przynosi spokój. Dlatego na sejmach wyraźnie rozbrzmiewał głos przede wszystkim obywatela, a dopiero potem wyznawcy określonej religii.

Potrzebę pokoju religijnego tak tłumaczył w 1590 roku kanclerz Wielkiego Księstwa Litewskiego katolik Lew Sapieha w liście do wojewody wileńskiego kalwinisty Krzysztofa Mikołaja Radziwiłła „Pioruna”: „Jam katolik, ale nie życzę tego ojczyźnie, aby tu u nas miało być jak we Francji, a mniemam, że wiele tych jest katolików, co tego nie tylko nie życzą, ale gdyby do czego przyjść miało, i oponować się temu będą, bo by to już ostatnia zguba była ojczyzny naszej”. A kanclerz Jan Zamoyski ze swoimi katolickimi zwolennikami, w sojuszu z protestantami, żądał w 1592 roku surowych kar dla tych, którzy urządzają pogromy protestanckich zborów. Nieco później ten był kalwinista, gorliwy katolik, Rusin z pochodzenia i samoświadomości (przynajmniej w latach siedemdziesiątych XVI wieku), który gorąco popierał ideę unii kościelnej, stanie wobec niej w opozycji z powodu niespójności królewskiej polityki.

Można wskazać wiele takich przykładów. Na tym tle odpowiedź na pytanie, dlaczego nie doszło do „triumfalnego pochodu” unii, tak gorąco popieranej przez króla i jego katolickich doradców, zyskuje na wyrazistości: w znacznej mierze dlatego, że realizacja tego projektu w wybranym przez nich kształcie łamała zasady kultury szlacheckiej. Wreszcie, dlatego właśnie tak szybko z żądań przywrócenia prawosławnych ich praw zniknął punkt dotyczący skasowania Cerkwi unickiej. Jak tłumaczył w traktacie polemicznym biskup połocki Melecjusz Smotrycki — ponieważ „w państwach tych wolno każdemu,

jako chce wierzyć”. Prawosławnym chodziło więc tylko o przestrzeganie praw i wolności ich Cerkwi, a nie o łamanie praw innego Kościoła.

Znany katolicki polemista Piotr Skarga miał rzecz jasna inne priorytety: „Jeśli zginie ojczyzna doczesna, przy wiecznej się ostoim”. Zygmunt III Waza, odmawiając potwierdzenia w 1606 roku aktu konfederacji warszawskiej o pokoju religijnym (1573), w istocie łamał własną przysięgę koronacyjną: w drugim jej punkcie powiedziane było bowiem, że dołoży on wszelkich starań, by z powodu różnic w religii nie mnożyły się konflikty i przemoc. A to oznaczało, że formalna równość Kościołów zaczęła pękać.

Co prawda również w przypadku katolickiego duchowieństwa, dla którego pierwszeństwo i interesy Kościoła powinny być najważniejsze, nie wszystko było takie proste. Arcybiskup gnieźnieński i prymas Królestwa Polskiego Jan Wężyk oraz duża liczba biskupów podpisali akt o pokoju religijnym. W liście do papieża Wężyk tłumaczył swoją decyzję potrzebą utrzymania spokoju w państwie. Czyli nawet dla kościelnego „generała” interesy Królestwa Bożego mogły ustąpić przed interesami „tymczasowej” ziemskiej ojczyzny. Kontrreformacja, która przetoczyła się przez Europę krwawymi wojnami religijnymi, umacniającymi „właściwą” wiarę, w Rzeczypospolitej natknęła się na nieoczekiwaną przeszkodę — szlachecką kulturę polityczną. Król nie był władcą sumień swoich poddanych, którzy sami wybierali sobie wyznanie. W odniesieniu do Rzeczypospolitej używany jest termin „spóźniona kontrreformacja”, bo przestrzeń dla niej pojawi się dopiero po rozlicznych krwawych wojnach, rozpoczynających się od połowy XVII wieku.

Przechodzenie na katolicyzm objęło oczywiście magnackie warstwy wyższe ruskiej szlachty, prawosławnych i protestantów, bo mogły temu sprzyjać plany matrymonialne, strategie życiowe, zdobywanie wykształcenia za granicą itp. Jednak również ci „nowi” katolicy zazwyczaj opiekowali się prawosławnymi cerkiewiami w granicach swoich majątków, a na sejmach występowali w obronie Cerkwi prawosławnej. Tak czynił książę Janusz Ostrogski, nawrócony katolik, odziedziczyszy po ojcu obowiązek tej obrony. Tak w swoich rozległych majątkach będzie postępować książę Jeremi Wiśniowiecki, opiekując się cerkiewiami i fundując bractwo prawosławne.

Cerkiew prawosławna w połowie lat trzydziestych XVII wieku odzyskała legalny status, jednak jej hierarchowie nie mieli wspólnego obrazu jej przyszłości. Współpracownicy Piotra Mohyły rozumieli potrzebę reformy, wszak konkurować trzeba było nie tyle z Kościołem unickim, dość przecież nielicznym, ile przede wszystkim z Kościołem rzymskokatolickim. Zdobywszy poparcie królów, pewnym krokiem podążał on w stronę statusu religii państwowej. Kończyła się epoka, w której formalnie żaden z Kościołów nie miał przewagi prawnej. Napięta atmosfera spóźnionej kontrreformacji była już w Rzeczypospolitej wyraźnie wyczuwalna. Dlatego część prawosławnego duchowieństwa różnych szczebli spoglądała w stronę Moskwy. Częstsze stały się podróże do „współwyznawców” — cara i patriarchy, z prośbami o fundusze i wsparcie. Niższe duchowieństwo postrzegało minione krzywdy jako niezagojoną ranę, za którą pragnęło się zemścić za pomocą kozackiej szabli.

Również wschodni patriarchowie nie stali z boku. Na przykład wojewodowie putywelscy donosili carowi, że w przededniu kozackiego powstania 1630 roku do ich obozu przybył posłaniec patriarchy Jerozolimy Teofanesa, który błogosławił Kozaków, prosząc, by trzymali się przy religii greckiej, a jednocześnie namawiał ich do poddania się pod władzę cara moskiewskiego.

Do „ukraińskiego” świata bez wątplenia należało chłopstwo, dla którego nasza dominująca ukraińska narracja o przeszłości zarezerwowała wyłącznie epitety „uciśnione” i „zniewolone” przez polską szlachtę. Tymczasem obraz jest znacznie bardziej złożony — choćby dlatego, że pan i poddany niekoniecznie różnili się przynależnością etniczną czy religijną: często mówili tym samym językiem i należeli do tej samej Cerkwi. Pojęcie „niewoli pańszczyźnianej”, podobnie jak związane z nią realia, pojawia się na naszych ukraińskich ziemiach znacznie później. W Rzeczypospolitej tej epoki, o której

mówi niniejsza książka, poddany nie był własnością szlachcica. Choć ziemia należała wyłącznie do szlachty, a z upływem czasu coraz bardziej kurczyły się możliwości swobodnego przechodzenia przez chłopa od jednego pana do drugiego, to poddany zawsze zachowywał jakąś część własnej podmiotowości.

Ówczesny świat, mimo różnic stanowych, nie był podzielony murami, przynajmniej w życiu codziennym, gdzie kluczowym określeniem była „wzajemna zależność”. Położenie chłopstwa to osobny, ciekawy temat, który przy dokładniejszym badaniu z pewnością zburzy niejeden stereotyp. Od razu dodam, że na Kijowszczyźnie i Braclawszczyźnie chłopom powodziło się znacznie lepiej niż gdzie indziej. Na przykład w starostwie braclawskim odrobek wynosił sześć dni rocznie. Należy przy tym pamiętać, że przez odrobek rozumie się nie obowiązek pracy dla pana świadczony przez każdego dorosłego poddanego, lecz oddelegowanie do tej pracy jednej osoby z dużego gospodarstwa domowego, złożonego z kilku mniejszych rodzin. Taka wspólnota często obejmowała także dalszą rodzinę i najmitów. Warto również zauważyć, że niezależnie od skali tego tak zwanego wyzysku wszelkie zwiększenie powinności postrzegane było jako krzywda, zwłaszcza w sąsiedztwie wolnego Kozactwa. Koniecznie trzeba też pamiętać o tym subiektywnym uwarunkowaniu, kiedy zaczynamy mówić o chłopskich wystąpieniach podczas powstania Bohdana Chmielnickiego.

Do „ukraińskiego” świata Rzeczypospolitej należało także Kozactwo, choć do pewnego momentu wielu mogłoby z tym polemizować. Przykładowo wyświęcony przy wsparciu Kozaków prawosławny biskup Melecjusz Smotrycki, uznając ich zasługi w obronie ojczyzny, unika traktowania Kozaków jako części „narodu ruskiego”. Wspólnota wojskowa na pograniczu ze stepem, zasilana przez różnorodny element, w szczególności przez tych, którzy nie znajdowali sobie miejsca w świecie norm społecznych, początkowo nie miała wyraźnego charakteru etnicznego i społecznego. Status Kozactwa jako korporacji nie był umocowany prawnie, a zmniejszenie rejestru — stałej części tego wojska pozostającej na służbie Rzeczypospolitej — groziło Kozakowi degradacją do kategorii chłopa. Z kolei zagospodarowywanie przez szlachtę terenów stepowych (rolnictwo, pojawianie się nowych osad i ufortyfikowanych miast) zmniejszało przestrzeń życiową Kozaków i stawało się przeszkodą dla ich tradycyjnego sposobu życia.

Kozactwo mogło pozostać wojskową korporacją pogranicza, słabo powiązaną z państwem, podobnie jak wiele innych tego rodzaju formacji. Jednak jego istotną częścią stali się ludzie mający ścisłe związki z ziemią — szlachta i bliskie jej grupy społeczne. W szczególności niemal całkowicie spośród szlachty pochodzili kozaccy przywódcy (przypomnę choćby kilku: hetman Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, twórca państwa kozackiego Bohdan Chmielnicki, pułkownicy Iwan Bohun i Daniło Nieczaj, hetman Iwan Wyhowski, twórca ugody hadziackiej Jerzy Niemirydz). Drobni właściciele majątków z ziemi kijowskiej i braclawskiej aktywnie brali się za zdobywanie „kozackiego chleba”, jak wówczas mówiono — czyli zarabiali na życie kozakowaniem. Wielu przedstawicieli szlachty trafiło także do rejestru kozackiego.

Jaka była tożsamość takiego Kozaka-szlachcica? Bardzo możliwe, że zależała od miejsca: wśród Kozaków był on Kozakiem, wśród szlachty — szlachcicem. Byli też tacy, dla których to właśnie Kozactwo stawało się ich „narodem”. Z jednej strony określali oni swoją tożsamość poprzez własną korporację i jej interesy, z drugiej — byli wychowani na tradycjach politycznych stanu szlacheckiego, dlatego myśleli kategoriami „swojej ziemi”, „dziedzictwa”, szlachectwa zdobywanego krwią przelaną w służbie króla i w obronie ojczyzny. Zwróćmy uwagę na fragment mowy pułkownika kozackiego Olifera Hołuba, z pochodzenia szlachcica, przed towarzystwem kozackim w 1625 roku — jest to rzadki przykład przedstawienia przez takiego „Kozaka-szlachcica” perspektywy jego korporacji:

Dziękujemy więc, panowie bracia, Panu Bogu, że mamy Pana [króla] przy sobie. Nie z własnej on to chęci uczynił [...], a uczynił tak z wielkiego nalegania ukraińskiej szlachty. Nacieraj na nich, panie hetmanie, śmiało, bo ich już niewielu, a i ci wolą z nami [w pokoju] żyć, niż w niebezpieczeństwie od nas być, bo ludzie [Kozacy] na nich nastąpili tak, że prawie poniszczyli. Dlatego

właśnie wolą z nami trzymać się, a ci, którzy nie chcą — muszą, wszak znają zachowanie nasze. Daj, Panie Boże, pożyć i odwdziżyć się, jako dziedzicom tej ojczyzny i ziemi. A co rozumiesz, że szlachcie nasza wolność nie smakuje, to nie ma miary naszej wolności, która potwierdzona jest od Boga i najświętszego patriarchy.

Olifer Hołub przemawia w imieniu Kozactwa, które służy królowi jako swojemu władcy, jest jednak wrogo nastawione wobec szlachty — jego antagonisty na ziemiach kijowskiej i braclawskiej. Zderzyły się tu zatem interesy tradycyjnych szlacheckich dziedziców i tych, którzy woleli zająć ich miejsce, tworząc na tych terenach własną autonomię. Pułkownik kozacki proponuje zastąpienie administracji szlacheckiej — kozacką; miejsce starostów mieliby zająć pułkownicy. Szlachta, która była częścią systemu politycznego Rzeczypospolitej, w modelu Hołuba staje się „zbędnym trzecim elementem”, wrogą siłą, niepozwalającą królowi na samodzielne działanie i nawiązywanie wzajemnie korzystnych kontaktów z Kozakami — żołnierzami. Tak więc korporacja wojskowa, mimo jej społecznej różnorodności, stopniowo zyskuje status podmiotu pretendującego do zajęcia własnego, odrębnego miejsca w państwie, równego szlachcie. Tak to przynajmniej wygląda w mowie Hołuba. Niemniej do pewnego momentu Kozactwo walczyło przede wszystkim o stabilną pozycję i przyzwoite wynagrodzenie, zapewniane przez wpis do rejestru. To właśnie zwiększenie owego rejestru wybrzmiewało jako najważniejsze kozackie żądanie w istocie aż do wybuchu powstania kozackiego pod przywództwem Bohdana Chmielnickiego.

Szlachta doskonale wiedziała, że kwestię Kozaków trzeba rozwiązać, zwłaszcza po ich wystąpieniach z lat dwudziestych i trzydziestych XVII wieku. To zrozumienie będzie wyraźnie słyszalne na sejmikach i sejmach na początku powstania, które wybuchnie w 1648 roku. Jednak stan szlachecki, który doskonale potrafił bronić swoich zdobyczy, nie miał potencjału do reformy Rzeczypospolitej. Chodziło wszak o pojawienie się nowego stanu, zgłaszającego pretensje do tych samych praw politycznych, które szlachta wywalczyła dla siebie w minionych stuleciach. Najwyraźniej nie była ona gotowa do przeprowadzenia tak radykalnej transformacji. Było to szczególnie trudne do przyjęcia dla tych spośród szlachty, którzy zamieszkiwali z dala od ziem kijowskiej i braclawskiej, gdzie zawiązała się już ścisła symbioza Kozaków z częścią szlacheckiego społeczeństwa.

Istotę tej „ludowej” wojny pod przywództwem Bohdana Chmielnickiego szybko pojęli co bardziej wykształceni obywatele Rzeczypospolitej. Zaczęli oni mówić o niszczeniu przez Kozaków własnej Republiki. Oto jak ujął to w swojej mowie na sejmie elekcyjnym w październiku 1648 roku prawosławny wojewoda kijowski Adam Kisiel:

Kozacy nie wiedzą, co to z Rzpltą traktaty: z Królem się im zda łącniejsza sprawa. Konsyderujcie WMMć; kiedy piszą Chmielnickiemu tytuł „Starszemu wojska Rzpltej”, on przecie pisze „Starszy wojska Króla JMci Zaporoskiego”. Nie chce on mieć sprawy z Rzpltą. [...] Raczcie WMM Panowie wiedzieć, że u tych chłopów za nic majestat Reipublicae, bo oni mówią: „A szczo to jest Rzeczpospolita? i my także Rzplta! Ale korol to u nas Pan”.

Powstanie kozackie przyniesie nie tylko rozłam Rzeczypospolitej. Doprowadzi ono również do pęknięcia ruskiego / ukraińskiego świata. Po stronie szlachty, która bronić będzie Rzeczypospolitej jako swojej ojczyzny, staną niekoronowany król lewobrzeżnej Ukrainy, ruski książę, katolik Jeremi Wiśniowiecki, a także prawosławny Adam Kisiel. W tym samym obozie znajdzie się również prawosławny Rusin Joachim Jerlicz, który najpierw szukał schronienia przed kozackim „buntem” w klasztorze peczerskim, a potem (jako niemłody już mężczyzna), starając się naprawić swój wyrwcony do góry nogami świat, znalazł się w wojsku regimentarza Stefana Czarnieckiego. Dla Jerlicza wydarzenia połowy XVII wieku wieszczyły początek apokalipsy, która przyniosła jego ojczyźnie straszliwy głód i zniszczenia. Podobnie postrzegała je duża część szlachty czernihowskiej i kijowskiej, wcale nie bardzo zamożnej, która będzie uciekać przed wojną, ratując siebie i swoje rodziny.

Problem ruskiej szlachty trafnie uchwycił historyk Andrzej Sulima Kamiński: „Kisiel nie wybierał pomiędzy Polską a Ukrainą, ale pomiędzy Rzeczpospolitą a Kozactwem, niszczącym jego zdaniem

szlachecki model obywatelskiego państwa”. W istocie Kozactwo miało niewiele do zaproponowania ruskiej szlachcie jako części narodu politycznego Rzeczypospolitej, co najwyżej mogło jej pozwolić, by stanęła po jego stronie. Jakie jednak były perspektywy tej „ich strony”, nawet sami Kozacy w połowie XVII wieku nie umieliby precyzyjnie powiedzieć.

Kozacy, szlachta, chłopci, którzy znaleźli się po jednej stronie, nazwą się Rusinami i prawosławnymi, mszczącymi się za krzywdy całego swojego narodu. Szlachta — prawosławni, katolicy, unici i protestanci — będą bronić swojej ojczyzny i także mówić o „zradzieckiej buntowniczej Rusi”, która od dawna nienawidziła Polaków. Nie należy tu pojęciu „Polak” nadawać etnicznego znaczenia, oznaczało ono po prostu ogromnie zróżnicowanych obywateli politycznych Rzeczypospolitej. Choć w tej wojnie retoryki i ideologii wiele mówiono o odwiecznej nienawiści „Rusinów” i „Polaków”, wszyscy doskonale rozumieli, że ani ci pierwsi nie obejmowali całej ruskiej wspólnoty, ani ci drudzy nie byli wszyscy Polakami.

Im dłużej jednak trwać będzie krwawa i wyniszczająca wojna wewnętrzna, tym wyraźniej będzie ona przybierać charakter walki uciskanego ludu o wyzwolenie. W przyszłości ten konflikt stanie się bohaterską wojną „Ukraińców” z „Polakami” o wolność. Ukraińska historia utraci zaś tych, na których zamówienie pisane były, tłumaczone i drukowane książki, otwierane wyższe uczelnie, wznoszone cerkwie, zamki i pałace. Kultura ukraińska zagubi znaczącą część swoich osiągnięć, a tradycja polityczna i prawna, z której jej współcześni spadkobiercy mogą być dumni, zostanie ogłoszona obcą.

Kozacki dyskurs „wojny wyzwolenczej przeciwko Lachom”, rozwinięty w różnych wariantach miejscowych kronik, legnie u podstaw oficjalnej historiografii Imperium Rosyjskiego. Później, w efekcie działań ukraińskich ruchów niepodległościowych końca XIX i początku XX wieku, będzie poddany pewnym transformacjom: konflikt między „swoimi” a „obcymi” zostanie wzmocniony. Genialny Mychajło Hruszewski wykorzysta historię, by stworzyć legitymizację dla narodu pozbawionego państwa i terytorium, na których trzymają się wszystkie nowoczesne schematy „egzystencji” narodów europejskich. Ten konstrukt okaże się wreszcie wygodny także dla historiografii radzieckiej.

Znakomity historyk Omelan Pricak, założyciel i pierwszy dyrektor Ukraińskiego Instytutu Naukowego przy Uniwersytecie Harvarda, w artykule W stulecie urodzin M. Hruszewskiego (1966) krytycznie określi tę narrację jako nieodpowiadającą potrzebom Ukraińców XX wieku:

Gdybyśmy nie mieli (ale mamy!) stuprocentowej pewności co do czystego charakteru i świętości intencji [Mykoły] Kostomarowa i [Wołodymyra] Antonowycza, to musielibyśmy dojść do przerażającego wniosku, że ci obcy właściciele ziemscy stworzyli skrojoną specjalnie dla narodu ukraińskiego koncepcję, by na wieki utrzymać go w anormalnym i niedorozwiniętym stanie zunifikowanej klasy chłopów („mas ludowych”) poza granicami czasu i przestrzeni. Ale teoria ukraińskiego „narodnictwa”, taka, jak rozwinęli ją Kostomarow i Antonowycz, to nie wroga intryga, tylko — co chyba jeszcze gorzej — zjawisko patologiczne. Wyrasta ona przede wszystkim z kompleksu winy przedstawicieli „pańskich” warstw na Ukrainie: Kostomarowa — rosyjskiej, Antonowycza — polskiej, wobec tak zwanych mas ludowych. W swoim zaślepieniu renegatów własnej warstwy i ofiarnym oddaniu neofitów z jednej strony, a także w nierealistycznej idealizacji chłopstwa („mas ludowych”) z drugiej całkowicie zagubili oni kryteria realności i stworzyli mit o „odrębnym charakterze ukraińskiego narodu”, o zdradzie ukraińskich warstw wyższych itd.

Głos Pricaka, a wcześniej głos „gorącego” Pantelejmona Kulisza, dość długo nie był jednak słyszany. Zbiorowy Ukrainiec wierzył w taką przeszłość, jaką przedstawiano mu przez bez mała dwa stulecia. Była ona wszak uświęcona kozacką szablą, ludową pieśnią (stworzoną znacznie później), retoryką wyzwolenczą, literaturą i pędzlem artysty, przede wszystkim jednak — normatywną imperialną ideologią rosyjską, a później radziecką, za którymi stały autorytarne państwa ze swoimi policjami i armiami. Takiej historii nie dało się czytać bez bromu, jak wzdychał z żalem pisarz i polityk Wołodymyr Wynnyczenko. Ukraińcy nieustannie przegrywali w niej swoje wojny, bohatersko wygrywając poszczególne bitwy.

Jednakże historia pisana jest w odwrotnym kierunku — od terażniejszości ku przeszłości. Zestaw faktów, choćby najrzetelniej dobranych i starannie przeanalizowanych, który trafia do rąk badaczy, nie opowiada gotowej historii. Schematy logicznej dedukcji i związku przyczynowo-skutkowe, za których pomocą grupuje się fakty, stanowią intelektualny produkt pracy historyka, „konstruującego” przeszłość. Oczywiście im głębiej idąc, tym stabilniejsze wydają się zdarzenia, których nie można zakwestionować. Jak jednak zauważył amerykański socjolog, historyk i ekonomista Immanuel Wallerstein w artykule Czy Indie istnieją?, „aż do momentu, oczywiście, gdy nagle, w dramatyczny sposób, a przede wszystkim w sposób udany, ktoś się im nie przeciwstawi”.

Dla ukraińskiej historii takim momentem stało się proklamowanie niepodległości Ukrainy 24 sierpnia 1991 roku. Historiografia wcale nie od razu odczuła skutki tej epokowej daty, wszak trzyma się ona mocno raz zajętych „terenów”. Początkowo wydawało się, że wystarczy wrócić do „prawdziwej” narracji historycznej z przełomu XIX i XX wieku i trochę odczyścić ją z radzieckich nawarstwień ideologicznych. Tym bardziej że dla ucha badacza wychowanego na bolszewickiej historiografii brzmiała ona bardzo naturalnie.

Im jednak dalej, tym wyraźniej wyczuwalna jest nieadekwatność tej opowieści o przeszłości. Naród z własnym terytorium i państwem potrzebuje innej narracji historycznej — takiej, w której pomieściliby się wszyscy ci, którzy niegdyś znaleźli się po innej stronie niż historyk demiurg. Ci, którzy mieli „niewłaściwe” pochodzenie, w ich żyłach bowiem płynęła „niewłaściwa” krew, którzy wybrali „nieodpowiednią” religię, samych siebie określali nie tak, jak chciałby twórca przeszłości, którzy w końcu „mylili się”, wybierając „nieodpowiednią” stronę w sporze, bo nie dostrzegli w mglistej przyszłości „głównej drogi rozwoju narodu ukraińskiego”. Wszyscy oni mieli własne racje i nie pozbawia ich to bynajmniej „ukraińskiego obywatelstwa”. Jest szansa, że wszyscy ci „inni” znajdą miejsce w nowej narracji historycznej, a przepaść powstałą między historią „przed” 1648 rokiem a historią „po” tej dacie w końcu uda się zasypać. Jest to zajęcie skomplikowane, niemniej fascynujące — i to ono właśnie daje nadzieję na pozytywną ukraińską przeszłość w szczęśliwej ukraińskiej przyszłości.

[Zamów publikację](#)